



ARTUR GRUSZECKI
**POD CZERWONYM
 WIRCHEM**

Nazajutrz przed południem pan Michał wszedł do pokoju żony, a przywitawszy się, mówił:

— Dowiedziałem się, że w Zakopanem śnieg i mróz. Zapewne potrzebujesz kapelusza zimowego, ciepłych rękawiczek, bucików... i kupię ci jakie lekkie futerko, kalosze...

— Zdaje mi się, że mam wszystko, szkoda pieniędzy... obejdę się.

— Co za upór, — zawołał rozdrażniony, — nie chcę, ażebyś dziwnie wyglądała. Jeśli nie żałuję pieniędzy i chcę ci kupić, co potrzeba, powinnaś mi w tym pomóc.

Ten ton dającego pieniądze oburzył panią Wandę, zmarszczyła brwi i rzekła stanowczo:

— Nic nie chcę i nie potrzebuję. Kupię sama, co uznam za stosowne... i dziękuję ci za twe dobre chęci.

— Dobrze, niech i tak będzie, — mówił zasmucony, — dawniej pytałaś się mnie zawsze, kupując to lub owo. Masz tu pieniądze, — położył na stole dwieście rubli, — przepraszam cię, że nie zmieniłem na korony... Obiad zjemy o pierwszej, czy do tej pory załatwisz się ze sprawunkami?

— Przypuszczam.

Pani Wanda spojrzała na pieniądze i w pierwszej chwili miała ochotę odrzucić, lecz przypomniała sobie swój posąg i osądziła, że te pieniądze należą właściwie do niej, to uspokoiło jej drażliwość i uprzejmie pożegnała męża, który widząc jej łaskawy uśmiech, pomyślał:

— Te kobiety zawsze się bierze na fatalaszki.

Wróciła do numeru przed pierwszą i zaledwie zrzuciła palto, wpadł mąż.

— Wiesz, Wandziu, spotkałem Prusinowskich i Rostkowskiego, stoją w tym samym hotelu, zjemy obiad wspólnie.

— Jeśli chcesz, to dobrze.

— Naturalnie, będzie weselej i proszę cię, ubierz się ładnie. Chciałbym się pochwalić moją żoneczką.

— To zbyt uciążliwe, pójdę jak stoję.

— Nie, nie! Ten kostium nieszczególny... weź inny.

— Ani myślę, jeśli wogóle pójdę, nie zmienię sukni.

— A jeśli ja cię proszę, — nalegał mąż.

— Idę w tej sukni, a nie podoba się tobie, mogę zostać w numerze.

— Jakaś ty uparta!

— To nie upór, ale jestem zmęczona i nie chcę przebierać się.

Przy obiedzie pan Rostkowski, znany ze swej oszczędności, dowiedziawszy się, że Jerzyccy zajęli dwa numery, rzekł zgorszony:

— Nie rozumiem, jak można tak wzbogacać hotelarzy i mieszcuchów, czy nie mogliście się państwo pomieścić w jednym numerze?

— To już sprawa Michasia, — zażartował Prusinowski, — zachciało mu się swobody.

Pan Michał spojrzał z wymówką na żonę, że naraziła go na żarty i mruknął:

— Nie potrzebuję płacić za swobodę.

— Tem mniej pani Wanda, — śmiał się Prusinowski, — chyba, że jesteście przed rozwodem.

Rozmowa przeszła na inny temat, ale słowo: rozwód, utkwiło w umyśle tak pani Wandy, jak i pana Michała. Badawcze ich spojrzenia spotkały się w przelocie i szybko się cofnęły.

— Rozwód, — myślała pani Wanda, rozmawiając w dalszym ciągu uprzejmie ze sąsiadami, — kto wie, czy nie jest to najlepsze wyjście i rozwiązanie tych przykrych i bolesnych stosunków. Odzyskamy swobodę, moja obecność przestanie go męczyć i krępować w używaniu życia, a ja poświęcę się wychowaniu Ninki, która, usunięta z pod wpływu ojca, nie ulegnie złym przykładom i wyrośnie na dzielną, mądrą niewiastę, która potrafi zdobyć sobie szczęście w życiu. I ona sama, gdy pozbędzie się tej zmy, domu i męża, odżyje, zabierze się do pracy, która da jej zadowolenie wewnętrzne i powodzenie. Jaka to ma być praca, nie zastanawiała się, była bowiem przekonana, że w każdym kierunku potrafi pracować.

Inne myśli zaprzętały umysł pana Michała. Z pod oka przypatrywał się swej żonie, porównywał ją z siedzącą przy stole, niską i pulchną panią Prusinowską, zawsze błogo uśmiechniętą. I jego żona wydała mu się uderzająco piękną, z tą twarzą poważną, myślącą, z figurą smukłą, zgrabną, niemal dziewczęcą. Patrzył na jej ruchy wytworne, słyszał dźwięczny jej głos i frazesy przemyślane, odczuwał, dalekie od banalności i paplaniny salonowej. I tę kobietę miałby utracić? Kto inny całowałby te śliczne usteczka? Ścisnął ją i pieścił? Poczuli taki ból zazdrości, że zmienił się na twarzy. Nie, do rozwodu nigdy nie dopuści, raczej zabije ją i siebie!

Wspomniał na jej miłość, na zupełne oddanie się, na jej zapewnienia, że tylko jego kocha, że on jest jedynym i jedynym, i to go uspokoiło trochę. Zresztą, czy Wandzia znajdzie drugiego na świecie, któryby ją tak kochał, jak on! I był tak uległy każdemu jej kaprysowi, słuchał jej, dogadzał we wszystkim, pamiętał co lubi, sprowdzał łakocie; niczego nie żałował i znosił cierpliwie jej niedomagania, choroby, zdenerwowania. Inny mąż robiłby jej sceny, uciekał z domu, nie przemówiłby do niej, a on znosił wszystko i jej niedoświadczenie, i skargi niesłuszne, i urojone żale, pretensje.

I ona, patrzył na jej twarz i oczy, kocha go przecież, i to natura szlachetna, ona go oceni, zrozumie i musi być wdzięczna za okazywane jej współczucie i troskliwość.

Jechali koleją do Zakopanego. Po chmurnych i dżdżystych dniach, wypogodziło się, było mroźno i rześwo. Nie zwracali jednak uwagi ani na słońce, ani na piękność podgórszych krajobrazów, oboje zdenerwowani i zniecierpliwieni, z upragnieniem wyczekiwali Zakopanego, jak gdyby tam mieli znaleźć spokój i ukojenie. Ona, że nareszcie pozbędzie się opieki męża, on, że w chwili rozłączenia i pożegnania przyjdzie do harmonii i zgody.

Gdy minęli Nowy-Targ, on patrząc przez okno, zawołał uradowany:

— Tatry!... Spójrz, Wandziu, jakie wspaniałe! Śnieżne szczyty w zachodzącym słońcu!

Przez grzeczność popatrzyła i rzekła chłodno:

— Prawda, — zaczęła czytać powieść, czując do męża żal, że on psuje jej swymi słowami wrażenie piękności Tatr.

— Ależ wspaniałe góry!... Takie wysokie! Poszarpane!... Prześliczne! — zachwycił się.

— Jakiż u niego ten zapal sztuczny, — my-

ślała żona, — tak samo zachwycą się doskonałą rybą lub leguminą!...

Panu Michałowi widocznie podobały się Tatry, gdyż wyszedł na kurytarz, ażeby lepiej widzieć. Powrócił za chwilę, mówiąc:

— Wiesz Wandziu, Tatry są może piękniejsze od Alp, takie są dzikie, groźne, wspaniałe. A dla ciebie?

— Trudno mi sądzić z okna wagonu.

— Kiedyż widzi się całe pasmo, różne szczyty i te lasy zielone na zboczach.

Podniosła oczy, spojrzała przez okno i przez wrodzoną grzeczność powiedziała:

— Tak jest... masz słuszność.

— Ależ tam musi być zimno, tak wysoko, wśród gór... Czy masz futrzane trzewiki?

— Nie.

— A kupiłaś ciepłe pończochy? kamasze? kalosze?

— Nie kupowałam, wzięłam z domu.

— Dlaczego sobie żałujesz? — mówił z wymówką, — dałem ci przecież na wydatki twoje dwieście rubli.

— Wiem, czy może ci zwrócić?

— Ależ nie! Przydadzą ci się, będziesz miała dosyć wydatków.

— Nie tak wiele... urządzę się oszczędnie.

— Już tylko się nie oszczędzaj, jedziesz dla zdrowia, lecz się, i nie żałuj pieniędzy.

— Dobrze.

— Nie wiem, czy ten zakład będzie dla ciebie przyjemny? W danym razie poszukam innego.

— Czy telegrafowałeś o pokój dla mnie?

— Tak jest... zresztą pisał do tutejszego lekarza doktor Henryk, uprzedzając go o twym przyjeździe.

— A masz odpowiedź telegraficzną?

— Nie, ale to nic nie znaczy, miejsce znajdziemy, nie tu, to tam.

— jednak doktor Henryk radził ten tylko zakład.

— Ach, wszystko jedno, tobie trzeba tylko spokoju i ciszy, lecz się nie potrzebujesz, sama mówisz, że nic ci nie brakuje.

Spojrzała na niego złemi oczyma, gdyż po konferencji z doktorem zrozumiała, że jest chora i to poważnie, doktor bowiem powiedział bez badania bliższego symptomaty jej choroby, miał bardzo poważną minę, radził wyjazd natychmiastowy i to samej, bez męża i dziecka. A mąż nie tylko, że narzucił jej swe towarzystwo, ale męczy ją, dokucza i lekceważy jej chorobę.

Gdy jego zaboli głowa, gardło, zęby, już narzeka, jęczy, zanudza wszystkich swem drobnym cierpieniem, ale gdy ona chora, gdy z trudem się porusza, gdy ma bicie serca, gdy mizernieje w oczach, on powiada, że jej nic nie brakuje! Co za zimny egoista, zapałszy tylko w siebie.

Dojeżdżali do Zakopanego, a on patrząc przez szybę, zawołał weselo:

— Wandziu! Sanna tutaj? Ty tak lubisz, po pojedziemy! Dobrze?

— O ile będę zdrowa.

Zajechali do zakładu, gdzie w obszernej przedsiönku przyjęła ich służba z niskimi nami.

— Czy są wolne pokoje?

— A jaśnie pan zamówił?

— Tak jest.